

Robert Borkowski

ORCID 0000-0003-0564-9792

DOI: 10.30657/pha.32.2020.12

(Miejsko-Gminna Biblioteka Publiczna w Głogowie Małopolskim)

e-mail: arborkowski@interia.eu

Fragmety wspomnień Teresy Mastalskiej-Chwiejczak o przedwojennym Rzeszowie

Streszczenie

Prezentowane w artykule dwa opowiadania wspomnieniowe Teresy Mastalskiej-Chwiejczak zatytułowane *Turul, Korkes – rzeszowskie sklepy, które bezpowrotnie zaginęły* i *Pan Szacunek* to opis rzeszowskiego przedwojennego handlu widzianego oczami klienta. Pojawiają się nieistniejące już sklepy obuwnicze, piekarnie, ciastkarnia, sklep z różnymi artykułami prowadzony przez Żyda, targowisko z żydowskimi przekupniami, księgarnia. Dowiadujemy się, jakie produkty były sprzedawane w danych sklepach, jaka była ich jakość i cena. Autorka jest bacznym obserwatorem i mimo zaawansowanego już wieku (94 lata) łatwo wydobywa z pamięci wiele szczegółów, na przykład fachową obsługę sprzedawców czy nowe zwyczaje tworzenia wystaw sklepowych. Wspomnienia dotyczą lat 1934–1938 i jest to ważny okres w dziejach Rzeszowa ze względu na inwestycje w mieście związane z budową Centralnego Okręgu Przemysłowego. Autorka opisuje zmiany, które dostrzegła podczas regularnych przyjazdów do Rzeszowa.

Słowa kluczowe:

Handel, lata trzydzieste

W poprzednim, XXXI tomie „Prac Historyczno-Archiwalnych”, przedstawiłem cztery opowiadania pani Teresy Mastalskiej-Chwiejczak, które są jej wspomnieniami z czasów dzieciństwa i młodości. Okres ten w głównej mierze spędziła w Rzeszowie i Głogowie Małopolskim. Przy tej okazji zaprezentowałem krótko sylwetkę pani Teresy, dlatego teraz pominę informacje biograficzne, odsyłając chętnych do poznania bliższych szczegółów z jej życia do poprzedniego tomu.

Obecnie chciałbym przedstawić dwie kolejne opowieści pani Teresy, które napisała w ostatnim czasie, co było jej reakcją na zeszłoroczne wydawnictwo. Pierwsza opowieść, obszerniejsza, zawiera opis życia handlowego w przedwojennym Rzeszo-

wie, który Autorka kilkakrotnie odwiedziła w latach trzydziestych XX w. Utrwaliło się ono w pamięci osoby obecnie 94-letniej, a mającej wówczas od 8 do 12 lat, ponieważ wspomnienia obejmują okres 1934–1938. W opowieści przewijają się różne miejsca związane z rzeszowskim handlem, począwszy od dwóch sklepów obuwniczych przy ul. Kościuszki, w których jej rodzina zaopatrywała się w nowe buty. Byli tak przywiązani do jakości sprzedawanego tam towaru, że w przypadku dłuższych nieobecności w Rzeszowie zwracali się do mieszkających przy ulicy Zamkowej dziadków Autorki, Stanisława i Agnieszki Jaworskich, aby zakupili i wysłali im obuwie. Tak było, gdy rodzina Autorki zamieszkała na Polesiu w Łunińcu, w miejscu, gdzie stacjonował 84. pułk strzelców poleskich, w którym służył ojciec pani Teresy, oficer Wojska Polskiego.

Następnie pojawiają się kolejne opisy, a to sklep z zabawkami, ciastkarnia przy ul. 3 Maja, słynna z dostępnych tam wypieków, sklep z tkaninami, w którym kupowano materiały na odzież, restauracja. Czasami Autorka zwraca uwagę na różne detale, na przykład na przeniesioną z Wielkopolski modę wykonywania wystaw za witryną restauracji czy sklepu. Jest też inny szczegół – Autorka opisuje, jak była obsługiwana w sklepach jej babcia czy dziadek. Wychodzi na jaw fachowość sprzedawców, fakt, że doskonale pamiętali swoich klientów, potrafili dopasować najlepszy do ich potrzeb towar. Tak było zarówno w obu sklepach obuwniczych, jak i w sklepie z tkaninami.

Pani Teresa przyznaje, że lubiła spacerować po przedwojennym Rzeszowie, poznawać jego zakamarki, zabytki, pomniki, ulice i place. Pokazywała uroki miasta nawet dziewczynie pracującej u Mastalskich jako opiekunka jej młodszego brata. Z zadowoleniem stwierdza, że władze miejskie dbały o likwidację nielegalnych wysypisk śmieci, które psuły estetykę ulic. Na jej oczach zmieniał się Rzeszów, były to lata inwestycji w Centralny Okręg Przemysłowy, w mieście budowano fabryki i towarzyszącą im infrastrukturę, napływała nowa ludność, która znajdowała zatrudnienie. Autorka, przyjeżdżając regularnie do dziadków, mogła zaobserwować wszystkie te zmiany.

Pisząc o przedwojennym handlu rzeszowskim, oczywiście nie można było pominąć kupców żydowskich. A więc pojawia się sklepik z koszernymi przysmakami, to znów widzimy charakterystyczny dla Żydów sklep Hirscha Wolfa Blau z mnóstwem różności, poznajemy smak chleba z piekarni Schneeweissa, słyszymy wreszcie wielki gwar towarzyszący żydowskim przekupniom na targowisku na Różance. Pani Teresa przedstawia też incydent, jak to studenci postanowili odebrać Żydom monopol na handel rybami. Są to obrazki, których dzisiaj już nie zobaczymy i możemy tylko czytać opowieści o nich.

Drugie, krótsze opowiadanie zatytułowane *Pan Szacunek* wspomina rzeszowskiego księgarza o nazwisku Grauer, który wraz z żoną prowadził księgarnię przy ul. 3 Maja. On również świetnie znał gusty swoich klientów i potrafił proponować im właściwe książki. Do księgarni Autorka chodziła głównie z dziadkiem i ten kupował jej wybrane tytuły. Księgarz miał bogatą ofertę, co oznaczało, że w przedwojennym Rzeszowie można było zakupić dobrą literaturę. Podobnie jak to było z butami, również książki wysyłane były stąd do Łunińca. Znamienna jest scena ostatniej wizyty w księgarni, już po wybuchu wojny. Grauer ewakuował się na wschód i zaginął, a jego żona snuła się po pustym sklepie jak duch, czekając na jego powrót. Los Grauera to symbol nadchodzącego Holocaustu.

Turul, Korkes – rzeszowskie sklepy, które bezpowrotnie zaginęły

Te dwa sklepy były usytuowane przy ulicy Kościuszki, niedaleko ulicy 3-go Maja, który z nich bliżej – nie pamiętam. Duże okna wystawowe były podobne i podobne też były ładne wnętrza z wygodnymi fotelikami do przymierzania butów, kupowanych chyba równie często, to w jednym, to w drugim sklepie. Wielokrotnie zakupy butów odkładane były aż na przyjazd do Rzeszowa. Jakoś mojej Mamie bardziej one odpowiadały niż buty z innych części Polski.

Ja też lubiłam buciki z Rzeszowa lub z Krakowa: miałam (zresztą i mam) kłopoty z wysokim podbiciem i pamiętam dobrze, jak męczyłam się w niewygodnych półbucikach do momentu przyjazdu do Rzeszowa. Tutaj też nie było łatwo z wyborem, ale wreszcie „u Korkesa” znalazła się odpowiednia para, której żywot, ku mojemu wielkiemu żalowi, zakończył się po pobycie najpierw w Wielkopolsce, a następnie na Polesiu. W Łunińcu – o ile pamiętam – był tylko jeden sklep obuwniczy i jakiś punkt słynnej firmy „Bata”. Jakość dostępnych tam butów była jednak słaba.

Przyszły mrozy i śniegi. Obuwie przydatne w Wielkopolsce nie nadawało się absolutnie na Polesiu. Mama szybko napisała list do Babci, prosząc o kupienie modnych wówczas wysokich butów filcowych dla niej oraz małych dla mojego małego brata. Ja musiałam się zadowolić przepisowymi bucikami sznurowanymi, które prześlizgnie wykonał, podobno jedyny szewc w Łunińcu, mistrz Gerculin. Były śliczne, ale nie bardzo na łuninieckie wertepy.

Wydaje mi się, że w odpowiedzi przyszła paczka od firmy „Turul” – bez pobrania. W dołączonym przez Babcię liście była podana cena i dopisek, że właściciel sklepu przesyła ukłony.

Zaczął się karnawał, ostatni przed wojną, Mama miała jakieś balowe buciki, ale były potrzebne odpowiednie do bardzo eleganckiej sukni. Znowu więc poszedł list na ul. Zamkową 17, znowu przyszła paczka od firmy „Korkes”, zawierająca trzy albo cztery pary ślicznych pantofelków. Od Babci dowiedziałam się później, że kiedy wybierała „prunelki” dla Mamy, pan Korkes zauważył:

– Jeżeli tam tak ciężko z butami, to może ja dołączyłbym jeszcze ze dwie, trzy pary dla znajomych pani majorowej. Jeśli nie będą potrzebne, to pani odeśle.

Były potrzebne, bardzo były. Najbliższe znajome niezwykle się ucieszyły na ich widok, ponieważ ominęła je jazda do Pińska na zakupy.

Jednak szczytem urody butów można było nazwać delikatne zamszowe buciki, łączone z elementami lakierowanymi. Nie umiem dziś dokładnie określić co to były za skórki. Całą wojnę, przywiezione do Głogowa, czekały na lepsze czasy, aż wreszcie się doczekały. Miały zgrabny wysoki obcas, trochę za delikatny na powojenne wrocławskie zrujnowane ulice, więc poszły do kogoś – dla mnie nie były już odpowiednie.

Gdy w listopadzie 1939 r. znaleźliśmy się w Głogowie, Mamie zostało trochę pieniędzy. Dowództwo Brygady KOP po 17 września szybko rozdzieliło kasę nie tylko wśród żołnierzy, ale także między żony i rodziny oficerów oraz podoficerów. Dla 84. pułku strzelców poleskich Poczta Polska, w której zatrudniona była narzeczona (później żona) ppor. Stanisława Byrczka wypłaciła wszystko, co było na książeczkach oszczędnościowych. Mama pieniędzy trochę zużyła najpierw na życie w Łu-

nińcu, potem na podróż. Nie wiadomo było, jak się zachować wobec ustawicznych wiadomości, że Niemcy zmieniają pieniądze – na pewno po bardzo złym kursie. Większość sklepów była już ogołocona z towaru, ale Mama, przechodząc ulicą Kościuszki, zobaczyła, że „u Korkesa” coś jeszcze jest.

Weszła, właściciel poznał ją, zaproponował kupno bardzo ładnych dziewczęcych buciczków z małą kokardką. Były w trzech kolorach: brązowym, czarnym i granatowym. Podobno w wielu szkołach średnich zalecano lub nakazywano ich noszenie, w tym w Rzeszowie. Mama kupiła je, ale miała jeszcze coś innego na oku i potem bardzo żałowała, że na nich zakończyła zakupy. Nosiłam je „od wielkiego dzwonu” przeszło 5 lat, a więc przez cały okres trwania wojny.

Na tejże ulicy Kościuszki, niemal na wprost dzwonnicy, przechodziło się przez szeroką bramę, maszerowało na drugą stronę budynku i po przejściu brukowanego dziedzińca wchodziło się do niedużego sklepu. Kupowało się tam wyrabiane przez firmę żydowską, jeśli dobrze pamiętam z Bielska Białej, śledzie w galarecie w puszkach. Wielkość ich była od małej do sporego półmiska. To była specjalność, a zarazem specjał. Pikantna, lekko kwaskowa, idealnie przezroczysta galaretką, niebieskawe, mięciutkie o takim samym smaku śledzie, delikatne jarzynki – to było coś. Istny cymes! Jadłam te śledzie zawsze z wielkim apetytem, mając jednak w duchu poważne wątpliwości, czy post z takim smakołykiem jest jakimś umartwieniem.

Na samym początku ulicy 3-go Maja, względnie bliżej budynku Sokoła, był sklep pana Stringera lub Singera z materiałami. Na pewno byłam w nim nie tylko jeden raz, ale utkwiał mi w pamięci ten właśnie, kiedy byłam w nim z Dziadziem. Po przywitaniu właścicielka sklepu zapytała o życzenie klienta, mając na myśli „panią radczynię”, tzn. Babcie.

– Tym razem dla córki – odpowiedział Dziadzio.

– A dla której pani? Pani profesorowej czy pani majorowej?

Pani zaczęła głośno myśleć.

– Pani majorowa ma ciemne włosy i oczy – te materiały mogą być odpowiednie.

– O, ten chyba będzie najlepszy.

Może mówiła nawet nie „materiał” – tylko „materia”, to się często słyszało w Małopolsce.

Pokazała piękną sztukę materiału o kolorze delikatnego cynobru. Przy czym powierzchnia była złożona jakoby z bardzo delikatnych kuleczek, mniejszych od grysiuku (kaszy manny). Rzeczywiście propozycja była świetna. Dziadzio spytał się mnie, czy mi się podoba, będąc już całkowicie przekonany. Towar zapłacony, zapakowany, został przeniesiony do domu i wysłany Mamie na imieniny.

Wiele materiałów było kupionych w tym sklepie: dla Babcy, Mamy, Cioci Lili. Moje sukienki również, w pepitkę, w ciepłym kolorze wina, bluzeczki, w niebieskich kratkach na białym tle. Myślę, że ostatnia Mamy elegancka suknia, czarna z jedwabiu z Lyonu, bardzo drogiego (30 zł za 1 m) również uszyta była z materiału tam kupionego. Pięknie uszyta, do dziś wisi w mojej szafie.

Przy ul. Grunwaldzkiej, blisko Kościuszki był sklep z zabawkami. Był też drugi, przy zbiegu ulic 3-go Maja i Zamkowej, ale ten pamiętam tylko z najmłodszych lat, potem jakby go nie było. W tym pierwszym miałam kupioną przez Dziadzia w czasie spaceru laleczkę – portret małej, słynnej aktorki Shirley Temple. Laleczki te różnej wielkości (wyrabiała je fabryka w Kaliszu) cieszyły się ogromną popularnością, mimo dość wysokiej ceny. Zobaczyłam ją na wystawie, nota bene niedużej i zdziwiona powiedziałam:

– Dziadziu! Shirley Temple – i z laleczką wróciłam do domu.

Mam ją na fotografii. Moja cioteczna siostra Basia dostała nieco później większą, ale moja była – wszyscy tak mówili – bardziej wiernie oddana. Różne zabawki przeszły w nasze ręce, nie tylko lalki, ale na przykład także urządzenia mechaniczne, ćwiczące zręczność rąk. Basi lalka się zachowała, moja podzieliła gorszy los innych zabawek na Polesiu, które musiałam zostawić, uciekając przed Sowieciami.

Przy zejściu z rynku w kierunku cmentarza i dalej Nowego Rynku – przy ulicy Gałęzowskiego miał swój sklep Hirsch – Wolf Blau. Był to sklep, mówiąc słowami poety – „kram rozlicznego gatunku”. Mocne, żelazne czy stalowe drzwi po otwarciu dawały możliwość wejścia do wnętrza ciemnego, ale tak ciasno zapełnionego różnym towarem, że trudno się było zorientować, co w nim głównie się sprzedaje. Były i wyroby żelazne, fajans, może też porcelanowe, drewniane, chyba także i inne.

Pamiętam jak dziś, że pewnego dnia Babcia chciała tam kupić jakiś drobiazg. Miałymy już wychodzić, ale obok miniaturowej, mocno okurzonej szklanej szafki zobaczyłyśmy komplet dla lalki „do łazienki”: mydelniczka, dzbanek, kubek do mycia zębów i nawet nocniczek. Nie wiem, czy to było z fajansu, czy z porcelany, ale było bardzo ładne. Babcia, widząc, że mi się podoba, chciała mi kupić. Myślę, że kupiłaby także dla kuzynki, bo obie otrzymałyśmy mebelki dla lalek, robione przez pana Nowaka w Głogowie (ul. Larymowicza).

Właściciel Hirsch – Wolf Blau, postawny starszy mężczyzna z długą brodą, pejsami, w typowym ubiorze żydowskim – czarnym chałacie ze sznurkami – postawił wysoką cenę. Babcia, która oglądnęła to cacko, stwierdziła, że ładne, ale cena zbyt wygórowana. Nie było mowy o żadnej obniżce. Starszy pan wyraźnie nie chciał się pozbyć tych przedmiotów. Dlaczego?

Przechodząc tamtędy, nigdy już tego kompletu nie widziałam.

Były i inne sklepy, jak na przykład opisywany przez śp. Franciszka Kotulę sklep z owocami, słodyczami, w którym można było się napić wody sodowej z sokiem lub bez, malutka cukierenka, w której można było kupić świetny piernik, biszkopt oraz makaroniki migdałowe, orzechowe¹. Przykro mi się zrobiło, gdy w latach siedemdziesiątych, idąc ulicą 3-go Maja i Zamkową, zobaczyłam u ich styku mocno już, ale na „na głucho” zasuniętą żaluzję.

Chleb z piekarni Schneeweissa (przy Różance) bardzo lubiłam. Wypiekali też w lecie dobre bułeczki słodkie z jagodami. Nie mam natomiast pojęcia, gdzie było kupowane mięso. Wiem natomiast, że na przykład cielęcina – tylna część była znacznie tańsza jak w Wielkopolsce i opłacało się posyłać w możliwym okresie z Rzeszowa do Ostrowa Wielkopolskiego lub podobnych miejscowości odpowiednio zapakowaną ćwiartkę. Nadawano po południu w Rzeszowie, a na drugi dzień rano lub najdalej dzień później była już u adresata².

Trzeba tu zaznaczyć, że jeśli chodzi o wygląd społeczności żydowskiej, to był bardzo zróżnicowany. Od bardzo skromnych ubiorów, nawet zaniedbanych do bar-

¹ F. Kotula opisuje położoną przy ulicy 3 Maja w Rzeszowie cukiernię Jana Lewickiego, który przybył do miasta z okolic Lwowa. Prowadził on wypiek i sprzedaż własnych ciast, które cieszyły się dużym wzięciem, zob. *Ibidem, Tamten Rzeszów*, Rzeszów 1985, s. 354-355.

² Zgodnie z rytuałem religijnym Żydzi za koszerne uważają tylko przednią część ubitej krowy czy wołu, dlatego tylną odsprzedawali chrześcijanom po niższej cenie. Mała populacja Żydów w Wielkopolsce powodowała, że podobne praktyki nie były tak stosowane, jak w Rzeszowie.

dzo eleganckich. Nie pamiętam natomiast – może się nie wpatrywałam – kobiet żydowskich w perukach względnie czepcach z perłami. Moda na nie chyba zakończyła się po I wojnie światowej, tak samo zresztą jak ludowego stroju wiejskiego, którego jakąś część widziało się niekiedy na pojedynczych osobach w celu jej „znoszenia”.

Zdarzały się czasem przypadki powrotu z zagranicy jakiegoś izraelity pochodzącego z Rzeszowa, na przykład w domu wybudowanym przez pana Urbana, prowadzącego przedstawicielstwo księżęcego browaru w Żywcu i właściciela drugiego domu (jeden dom leżał przy ulicy Jagiellońskiej, a drugi, nowy, bliżej Pułaskiego), zamieszkiwał niejaki pan Szapiro. Był to starszy pan, podobno zapomniał języka polskiego. Czym się zajmował i czy ktoś więcej z nim mieszkał, nie wiem. Mówiono, że właściwie był samotny, jeśli nie liczyć pięknego psa – doga, którego ktoś wyprowadzał na spacer.

Druga, to sprawa błąp. Tannenbauma, którego imię nosił „Dom Ludowy”³. Oczywiście nie znałam i nie znam przebiegu sprawy, ale w pewnym okresie przed wojną słyszało się o różnych sporach dotyczących ustalenia użytkowników domu, o odrzuceniu woli twórcy, o tym, że jest niewykorzystany itp. Można to było usłyszeć w różnych miejscach, osobiście obserwowałam dyskutujących na ten temat. Nigdy nawet nie byłam w tamtej stronie. Dziwna rzecz, jakoś mi było żal tego domu i tej sprawy. Chyba w końcu ucichła.

Jeśli chodzi o sprawy kupców i ich sklepów, to nastąpiła znaczna zmiana, gdy powstawał Centralny Okręg Przemysłowy. W roku 1932 i w następnym nie byłam w Rzeszowie. Przyjechałam po powodzi w 1934 roku, początkowo na krótko, a zostałaś nieco dłużej, bo zachorowałam na ostrą anginę. W kolejnym roku znowu nie odwiedzałam Dziadków i przyjechałam do nich dopiero w 1936 z rodzicami i małym Bratem. Mama była po bardzo ciężkim zapaleniu stawów, z nawrotami, nie bardzo zdolna do poruszenia się. Niewiele więc chodziłam na dalsze spacer, ale jeśli poszło się w stronę, w której budowane były zakłady PZL lub H. Cegielskiego, widziało się ruch, zaprzęgi (nawet z dalekiego Polesia) i ogromne zmiany. Te były jeszcze bardziej widoczne w następnych latach – w 1937 (byłam w mieście cały sierpień i od połowy grudnia do 20 stycznia). Ostatni raz przed wojną byłam w Rzeszowie w lipcu 1938 roku. Przybyło ludzi, którzy znaleźli się tam jako pracownicy firm budujących zakłady oraz przyszła kadra zarządzająca. Miasto więc wypełniało się tłumem i ruchem.

Trzeba jednak powiedzieć, że w wielu przypadkach wygląd zewnętrzny sklepów, reklam itp. pozostawiał wiele do życzenia. Pamiętam istniejące przy ulicy 3-go Maja skrzynek oszklone z danymi tego czy innego przedsięwzięcia, które były rzadko umiejscowione albo w ogóle nie były zmieniane od pokoleń, pod kątem estetycznym stały daleko w tyle za poziomem na przykład Wielkopolski. Chociaż trzeba dodać, że przy ulicy 3-go Maja w Rzeszowie pojawiły się nowe, bardzo eleganckie sklepy, a także restauracja przy ulicy Jagiellońskiej (Worsztynowiczów z Poznania).

Wielką sensację wzbudziła w Rzeszowie w tejsze restauracji podczas adwentu 1937 roku popularna w Wielkopolsce aranżacja wystawy, dwa tygodnie czy tydzień przed świętami. W Wielkopolsce nawet w małych miastach był zwyczaj pogłębiania witryny (okna wystawowego) sklepu przez przestawienie wyposażenia mebli i czę-

³ Adolf Tannenbaum (1864–1930) – urodzony w Rzeszowie kupiec, który w Niemczech i Anglii dorobił się znacznej fortuny, był twórcą fundacji swojego imienia, ze środków której wybudowano w Rzeszowie Żydowski Dom Ludowy, obecnie Wojewódzki Dom Kultury.

ści sklepowej, i w tym obszarze powstawał pokój, który odpowiednio malowano, który był obiektem reklamowym. Działo się to przede wszystkim przed Bożym Narodzeniem i Wielkanocą, a w niektórych przypadkach jesienią, także w tzw. Białym Tygodniu. Pokój przed Bożym Narodzeniem przedstawiał sypialnię, a także coś w rodzaju pokoju dziecinnego: oczywiście wszystko w miarę posiadanych możliwości. Były więc na przykład dwa pięknie nakryte łóżka z bielizną pościelową i osobistą oraz dziecięce łóżeczko z pełnym wyposażeniem wraz z zabawkami. Dekorację stanowiła choinka. Na podłodze były chodniczki, dywaniki, jakieś prezenty, wszystko ładnie oświetlone i z dużą dozą elegancji, która interesowała widza. Witryna była oblegana przez ciekawskich przechodniów.

Wystawa na Wielkanoc, w Białym Tygodniu i przy innych okazjach zależała od fantazji właściciela i upodobań danej miejscowości. Jak wspomniałam, w roku 1937 taka wystawa wzbudziła niemałe zaciekawienie w Rzeszowie. Jej widokiem nie dziwiła się moja Babcia, która takie przedstawienie oglądała będąc u nas w Wielkopolsce, natomiast w Rzeszowie oglądających było coraz więcej, co stwierdziliśmy, wychodząc po południu i później, w godzinach wieczornych.

Jarmarki szły swoją drogą w dniach ustalonych jeszcze nieraz w średniowieczu. W lecie zmiany w estetyce miasta były widoczne. Nie było już wtedy śladu po hałdach śmieci, na przykład jakimś dzikim wysypisku przy Pułaskiego. Różanka w dzień targowy też wyprzystojniała.

Z targowiskiem na Różance i nianią mojego brata Marysią, która z nami przyjechała do Rzeszowa w grudniu 1937 roku, miałam ciekawą przygodę. Marysia, starsza ode mnie o kilka dobrych lat, ale bardzo zaprzyjaźniona, nigdy chyba nie widziała miasta z większą ilością społeczności żydowskiej. W Krotoszynie, w którego sąsiedztwie mieszkała jej rodzina, były wówczas tylko trzy rodziny żydowskie, w tym jedna mieszkająca w tym samym domu co my. Synagoga głównie służyła żołnierzom wyznania mojżeszowego. W Rzeszowie wychodziłam z nią na spacer, przeważnie w Aleję pod Kasztanami i najbliższą okolicę – z moim małym Bratem. Bywała też na spacerze z Babcią, a raz (pierwszy po jakimś czasie) na propozycję starszych zabrałam ją, żeby pokazać jej miasto, w którym zresztą poruszałam się swobodnie, znałam ciekawe miejsca, zabytki, rzekę itp.

Poszliśmy ulicą 3-go Maja, pokazałam jej farę, kościół bernardynów, pomnik Leopolda Lisa-Kuli, potem poszliśmy w kierunku rynku. Dalej w kierunku Nowego Rynku, po drodze widziała dwie synagogi, obie zamknięte. W powrotnej drodze zauważyła targowisko na Różance. Handlowali przeważnie Żydzi. Było ich pełno, roziło się od różnych typów, ubranych czasami w najcudacznieszy sposób, obok stały rozmaite wozy, przy niektórych na długim patyku zwiisał czerwony kawałek płótna, ostrzegając: Uwaga, koń gryzie!

Marysię oszołomił zupełnie krzyk, głośne rozmowy w jidysz, słychać było także hebrajski, mniej lub więcej poprawny język polski, a niekiedy bezbłędną polszczyznę. Uznałam, że wystarczy i zaczęłyśmy wracać. Znalazłyśmy się znów na ulicy 3-go Maja. Następne spacerunki były już normalne. Kiedy komuś się kłaniałam, objaśniałam Marysi, kim jest ta osoba. Przestała się dziwić krótkiej wymianie zdań, dłuższym opowiadaniom, słowem: wkroczyła normalność.

Nie znałam krawcowych w Rzeszowie. Nie było z tym chyba najlepiej, dla mnie jedna sukienka tutaj była szyta (niestety, nie wiem przez kogo) i to nie bardzo udana.

Za to niemal za każdym razem była robiona jakaś fotografia. Nie lubiłam tego; nie byłam i jestem daleka od fotogeniczności, odwrotnie jak cała rodzina.

Przypominam sobie doskonale ostatni grudzień, który przed wojną spędziłam w Rzeszowie w 1937 roku, był bardzo dziwny. Oprócz wystaw, zjawily się wozy, niewielkie podesty z improwizowanym stołem, wagi, kasy i inne potrzebne do handlu przedmioty. Nad tym wszystkim królowali młodzi studenci Wyższej Szkoły Handlu Zagranicznego ze Lwowa, sprzedający ryby. Nad nimi widniał transparent czy raczej ogłoszenie: „Pomóż studentom”, „Świeże ryby” itp. Ktoś mi potem mówił, że było też ogłoszenie: „Nie kupuj u Żyda!”. Czy faktycznie było, a także wołania o podobnym wydźwięku, tego nie pamiętam. „Pańska” ulica była wtedy pełna ruchu, było sporo świateł, ale można się było zgubić.

Słyszałam, że celem studentów było odebranie Żydom klientów. Dużo nad tą sprawą dyskutowano, sama wiele słyszałam. Chyba prawdą jest, że było to dla nich jakby zadaniem do wykonania: mieli zorganizować w formie wcześniejszych pertraktacji zamówienie towaru ryb już wiosną lub wczesnym latem u właścicieli stawów, głównie w majątkach, opierając się na jakichś danych statystycznych. Podobno był to manewr wyprzedzający, którego kupcy żydowscy, dotychczasowi monopolisci w tym handlu, zupełnie się nie spodziewali.

Sprawa była już zupełnie zapięta, gdy wcześniejsi kontrahenci, przyzwyczajeni do innego trybu handlu, zgłosili się. Dowiedzieli się, że ich oferta kupna jest spóźniona. Czy usiłowali podjąć jakieś kroki w sprawie zmiany sytuacji, nie było mi wiadomo. Nie wiem też, czy brało w przygotowaniu całego przedsięwzięcia udział kilka grup studenckich, czy tylko ta jedna. W każdym razie udało się. Najbardziej cieszyli się studenci (akademy) mniej zamożni, bo zysk z całego przedsięwzięcia był niezły i dodatkowo dużo się w ten sposób nauczyli.

„Pan Szacunek”

W Rzeszowie przy ul. 3-go Maja, w niedalekiej odległości od fabryki pana Weissa, wraz z żoną prowadził księgarnię pan Grauer. Imion ich nie pamiętam. Pani była osobą dość wysoką i raczej trudno byłoby ją nazwać smukłą, natomiast jej małżonek był sporo od niej niższy i drobnej postaci oraz bardzo zwinny i ruchliwy.

Miał w sobie tylko dla niego właściwy sposób witania się z klientami, zwłaszcza stałymi i dobrze znanymi. Przy energicznym skłonieniu głowy wymawiał tylko jedno słowo: – Szacunek!

Ewentualnie dodawał do niego należny danej osobie tytuł.

Obserwowałam to przez wszystkie lata, które spędzałam u moich śp. Dziadków, zamieszkałych do wojny właśnie w Rzeszowie. Do księgarni przychodziłam zwykle z Dziadziem, ale w miarę upływu lat także sama, kiedy nadeszły jakieś mogące zainteresować mnie nowości, coś z ulubionych autorów względnie epok.

W najmłodszych latach, dzięki cierpliwemu czytaniu mi pozycji dla dzieci i różnych opowiadań oraz bajek, poznałam ich bardzo dużo. Dzisiaj jeszcze część z nich pamiętam. Potem bajki dość szybko zostały porzucone, a miejsce ich zajęła przede wszystkim historia, zawarta w utworach Gąsiorowskiego, Przyborowskiego, wspomnienia i dostępne opracowania epoki napoleońskiej, powstania listopadowego,

powstania styczniowego oraz okresu pierwszej wojny światowej. Ze szczególnym uwzględnieniem Legionów, wojny polsko-bolszewickiej i obrony Lwowa.

Szybko właściwie odsunęłam na bok tomiki „dziewczęce”, miejsce ich zajmowały artykuły z dodatków tygodniowych, na przykład IKC lub „Polski Zbrojnej w Kulturę”⁴. Główne jednak książki otrzymywałam od Dziadzia, a cały ciężar ich wyszukiwania brał na siebie „Pan Szacunek”, który witał mnie nieco inaczej, ale bardzo uprzejmie.

Ostatnia spora przesyłka przyszła do mnie z początkiem lipca 1939 roku. Zawierała komplet lektur dla drugiej klasy gimnazjum. Z miejsca zabrałam się do czytania na przykład Jeske-Choińskiego *Tiara i korona*, Deotymy *Panienka z okienka*⁵. Część lektur już wcześniej miałam w domu.

Cała moja biblioteczka przepadła 1 października 1939 roku, kiedy wyrzucono nas z mieszkania w Łunińcu (województwo poleskie). Dowiedziałam się po wojnie, że książki krążyły w czasie wojny, powiedzieli mi to byli sąsiedzi i byli koledzy, już we Wrocławiu. Niektóre tytuły widziałam w oknie antykwariatu, ale nie stać mnie było na odkupienie. Zaniechałam sprawdzenia, czy na pewno to były moje, czy też może nie.

Kiedy w grudniu 1939 roku byłam w Rzeszowie, wraz z Babcią wstąpiłyśmy do księgarni „Pana Szacunka”. Jego nie było, a żona, zobaczywszy nas spytała, czy może nie przejeżdżał ktoś z nas przez Lwów i nie spotkał jej męża, bo on się tam udał z chwilą wybuchu wojny. Od tej pory nie miała o nim żadnej wiadomości. Nikt go nie widział ani o nim nie słyszał.

Nic nie można było jej pomóc. Była smutna, jakby mniejsza i mocno postarzała. Wszystko wskazuje na to, że wraz z całą rodziną podzieliła los mieszkańców getta w Rzeszowie.

Bibliografia

- Cała A., Węgrzynek H., Zalewska G., *Historia i kultura Żydów polskich. Słownik*, Warszawa 2000.
- Chałupski J., *Rzeszów w dobie Centralnego Okręgu Przemysłowego*, „Prace Techniczne Budownictwa i Inżynierii Środowiska. Towarzystwo Naukowe w Rzeszowie. Wydział Nauk Technicznych” 1983, z. 9.
- Dzieje Rzeszowa*, red. F. Kiryk, t. 3, Rzeszów 2001.
- Encyklopedia Rzeszowa*, red. Z. Budzyński, J. Draus i inni, Rzeszów 2004.

⁴ IKC – „Ilustrowany Kurier Codzienny”, pierwszy ogólnopolski wysokonakładowy dziennik wydawany w Krakowie w latach 1910–1939, jego tygodniowym dodatkiem był m.in. „Kurier Literacko-Naukowy”; „Polska Zbrojna w Kulturę”, dodatek niedzielny do dziennika przedwojennego „Polska Zbrojna”.

⁵ *Tiara i korona* Teodora Jeske-Choińskiego to powieść historyczna przedstawiająca spór o inwestyturę pomiędzy papieżem Grzegorzem VII i cesarzem Henrykiem IV w drugiej połowie XI w.; *Panienka z okienka* Jadwigi Łuszczewskiej, której literacki pseudonim brzmiał „Deotyma”, to powieść historyczna dla młodzieży, której akcja dzieje się w XVII-wiecznym Gdańsku.

- Feldman W., *Współczesna literatura polska*, Kraków 1985.
Henning W., *Rzeszowski alfabet*, Rzeszów 2012.
Kotula F., *Tamten Rzeszów*, Rzeszów 1985.
Przyboś A., *Wspomnienia rzeszowianina 1906–1939*, Rzeszów 1999.
Rzeszowianie o sobie i swoim mieście. Wybór pamiątek, oprac. i red. H. Jadam, M. Malikowski, Rzeszów 1979.
Wójcik Z.K., *Z dziejów Rzeszowa 1935–1939*, Rzeszów 1994.
Żydzi w Polsce, dzieje i kultura. Leksykon, red. J. Tomaszewski, A. Żbikowski, Warszawa 2001.

Abstract

Selected memories of Teresa Mastalska-Chwiejczak about the pre-war Rzeszow

This article presents two memoirs from Teresa Mastalska-Chwiejczak titled 'Turul, Korkeś – Rzeszow shops that irretrievably disappeared' and 'Mister Respect' that describe the pre-war Rzeszow's commerce seen from the viewpoint of the customer. These memoirs tell of no longer existing shoe shops, bakeries, a confectionery, a shop with various articles manned by a Jew, a market with Jewish hucksters and a bookstore. We learn of what sorts of products were sold in the shops and about the products' quality and price. The author is a keen observer and despite her advanced age (94 years old) she easily uncovers many details from memory, such as the professional service of the clerks or the new practice of creating a shop window. The memoirs pertain to the years 1934–1938, an important period for Rzeszow due to the investments in the city regarding the construction of the Central Industrial Region. The author describes changes, which she noticed during her regular visits to Rzeszow.

Key words:

Trade, 1930s